

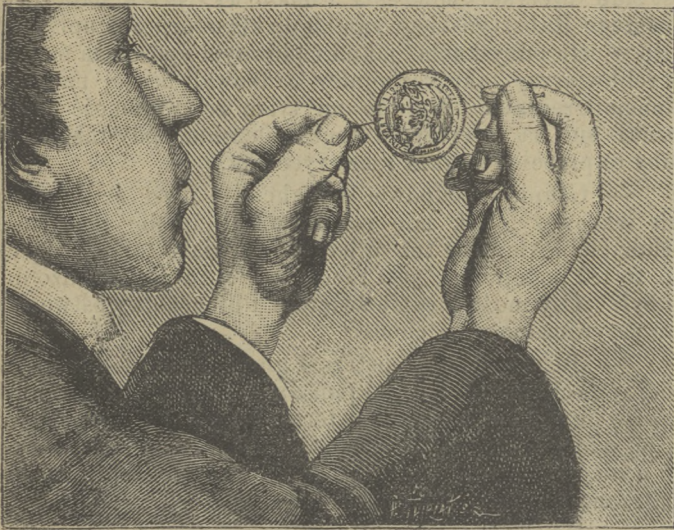


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Doświadczenie fizyczne.

Weźmy pieniąż srebny lub miedziany, i podnieśmy go za pomocą dwóch szpilek, jak wskazuje rysunek. Dmuchać ostrożnie lecz dość silnie i jednostajnie na pieniążek, wprawimy go w ruch obrotowy, który trwać będzie póty, póki osoba trzymająca nie ustanie w dmuchaniu. Doświadczenie to wcale nie jest trudne, zawsze jednak wymaga pewnej zręczności. Wykazuje prawo ruchu wirowego. Gdyby nie było oporu powietrza, pieniążek, raz poruszony, wirowałby nieustannie, zupełnie jak giroskop, przyrząd, o którym wspomni-

liśmy dawniej przy opisie bumerangu, owęj osobliwszej broni australickiej.

PODZIEMIA BARWAŁDZKIEGO ZAMKU.

powieść z dawnych czasów

PRZEZ **Boguchwałę.**

(Dalszy ciąg).

Tak szły rzeczy czas niejaki, aż gdy dworzec napełnił się dostatkiem po brzegi i pan Przekora był teraz bogaczem jakich mało i szczęśliwym nad wszelki wyraz, nagle stało się z nim coś dziwnego: to czego tak długo pragnął i posiadał nareszcie, zbrzydło mu nie wiedzieć czemu.

Nie stary jeszcze człowiek, wyrzekł się rozkosznego życia jakie prowadził od niedawna, wychudł, wybladł, posmutniał, jał się gorąco nabożeństwa, czego nigdy nie czynił, mówił coś o karze Boskiej za chciwość, syna znów nie chciał widzieć na oczy, nareszcie zamknął się w ustronnej izbie dworca, rozpoczął surowe życie pokutnika, żyjąc chlebem i wodą, przepędzając cały czas na klęczkach i modlitwie, spijając na gołąj podłodze i nie zdejmując szaty koczastej pokutniczej. Jedną tylko Jadwigę dopuszczał do siebie aby mu przynosiła żywność. Dziwne, dziwniejsze niż kiedykolwiek życie nastąpiło wtedy w Przekorowym dworcu. Wszystkie troski i zajęcia spoczywały na głowie Jadwigi; odosobnienie ojca składano na chorobę, z bogactwami tajono się jak z czym złem, służby trzymano jak najmniej, i to co najdawniejszej i najzaufanej, Jadwiga wyglądała ponura jak noc, troskliwość jednak i serdecznie wychowując siostry. Mimo to wszystko, za każdym Wszebora przyjazdem bywała wielka

uczta i głośna zabawa, sąsiedzi i kapela zjeżdżali z daleka i hulano po kilka dni i nocy z rzędu, to jest dopóki tylko Wszebor bawił, bo on lubił hulanki jak mówił, chociaż Jądwiga wiedziała dobrze, iż przyczyną tego zamięłowania w zabawie było to, że Wszebor nie lubił pozostać ani chwili sam na sam... z najstarszą siostrą.

II.

Jak pan Jan świecę ofiarną zdobył, trzos stracił, a relikwiarz odzyskał.

Było to za panowania Kazimierza Jagiellończyka, w czasach kiedy taki zapał panował do nauk, że aż musiano prawem ograniczać liczbę kmiecych dzieci, porzucających rolę dla szkoły, bo już rąk zaczynało do uprawy ziemi braknąć, gdy wszyscy chcieli pracować na niwie naukowej. Mimo to jednakże, jakby na dowód że oświata sama przez się a bez gruntu religijnego nie wystarcza człowiekowi, mnożyły się też podówczas bezprawia i rozboje; całe liczne bandy znane w historii pod nazwą *braci żebraków* jaką sobie sami nadali, włóczyły się po kraju rabując, bywały nawet wypadki, że wielcy panowie skrycie i tajemniczo umaczali rękę w rozboju. Trzeba przecież nadmienić że toż samo podówczas, tylko na daleko większą skalę działo się i w innych krajach, jak np. w Niemczech gdzie niemieccy baronowie obwarowawszy się w zamkach swych na szczycie skał wysokich, wypadali ztamtąd na rabunek ze swymi służalcami, i z rozbojów żyli jedynie. W Polsce daleko było do takich znów jawnych bezprawii, pomiędzy wyższą przynajmniej klasą narodu, a parę zaledwie nazwisk szlacheckich, skalanych rozbojem dowiedzionym, przeszły do historii jako wypadki wyjątkowe. Lud prosty, zarażony może od sąsiadów, rozbijał przecież po drogach istotnie, ale bandy te bywały prawie zawsze zbiegowiskiem i zbieraniną z różnych narodowości. Niejeden zloczyńca z sąsiednich okolic ścigany i napędzany przez swoich, wpadał do Polski i tu sobie dalej rzemiosło prowadził okrutne, gdyż okoliczności i okolice nadawały się bardzo do tego. Polska albowiem ówczesna o ile bardziej lesista, o tyle i bagnista bardziej była od dzisiejszej. Puszczę miejscami, a miejscami straszliwe topiele, wśród których tu i owdzie sterczał suchszy grunt zwany ostrowiem, to jest wyspą, zapewniały doskonałe schronienie rabusiom, a bogactwa szlacheckie i kmiecie nęciły ich, gdy chęci zabrakło do uczciwej pracy, której nigdy nie brakło naówczas. Albowiem oprócz rolnictwa, tyleż albo i więcej było roboty z budowaniem mostów i grobli. Budowano niewymyślnie a trwale, poprostu układając olbrzymie całkowite drzewa szczelnie, jedno przy drugim na topieliskach, obciążwszy zaledwo konary, a kładąc częstokroć w taki sposób jak śledzie w beczkę, to jest cieńszy koniec jednej, koło grubszego końca drugiej sztuki. Szczątki potężne takich pokładów znajdują się jeszcze dzisiaj, skamieniałe w głębi ziemi, a ciągnące się z przerwami po wiorst kilka. Na takim moście, ułożonym w razach szczególniej grzęzkiego gruntu na podkładach szczerze, jeżeli jechać nie było wygodnie, to przecież bezpiecznie bywało. Sam ogrom tych kłód potężnych o bezpieczeństwie stanowił; ale pracy było z tem co niemiarą. Przez takie to lasy i po takich groblach i mostach jechał sobie pewnego dnia letniego, samowtór ze sługą, młody szlachcic, konno i zbrojno ale dziwnie milczący; odpowiadał tylko na chrześcijańskie powitania, nie często spotykanych podróźnych, ale zresztą nie mówił nic, wszelkie podróźne sprawy zdawszy na dworzanina. Ubrany był bardzo skromnie po podróźnemu, aby nie zwracać oczu przejezdnych, nawet koń pod nim nie lepszy był od konia sługi. A jednak jakiś inny szlachcic podróźny w tę samą co i on dążący stronę, poznał snadź i odróżnił od sług i pana „po cholewach”, bo minawszy tamtego:

— Niech będzie pochwalony! — rzekł uchylając czapki.

— Na wieki wieków!

— Piękny czas! A daleko to Bóg prowadzi? — zapytał znowu.

Zaczepony nie odpowiedział wcale tym razeni, choć poruszał ustami jakby modlitwy szeptał, a oczy miał spuszczone.

Gadatliwy podróźny powtórzył pytanie zawsze na próżno.

— Ki lichy! Głuchy, czy głupi?.. — mruknął przypatrując się z pod oka.

Milczący pań poczerwieniał nagle i gniewem zakiplał, ale zmilczał nie przerywając swego szeptania.

— No — pomyślał w pół głośno zawadyaka. — A nuż to jest wzgarda pańska w tem milczeniu?... bo coś mi ta persona na pana patrzy! — Zbliżył się zatem z koniem tuż do milczącego i rzekł jeszcze:

— Mój mości panie a bracie, chciejże mi waszmość powiedzieć, czyli z pogardy dla mój osoby jest to milczenie? Czy też dla innej jakowej przyczyny dziwniej?

Alę zagadniony milczał ciągle, poruszając jednostajnie wargami, a oczy w ziemię spuszczone trzymając.

— O! kiedy tak, to już pewno z pogardy dla chudo pachółka idzie to milczenie, a więc: Do mnie bracia! Nie dajmy się gnębić pańskiej wzgardzie! — krzyknął niespodzianie zaczepiający:

Na ten okrzyk wyskoczyło z przydrożnej brzezinki dziesięciu drabów, rzucili się na milczącego pana i jego sługę i pomimo dzielnej obrony, pomimo że sami oberwali porządnie, jednak zmagli obu, związali i dopiero wypytywać zaczęli gdzie? i po co jadą? Związany pan milczał wciąż, poruszając ustami tak samo jak i wprzódy, gdy tego machał szablą we własnej obronie.

— Kto on? Co on zacz? Czy on niespełna rozumu? że na grzezną mowę nie odpowiada? — pytano sługi, a ten mimo że związany, dumną przybrał postawę i rzekł butnie:

— Kto on?... to nie jest żaden „on”, tylko najstarszy z synów jego miłości pana z Rabsztyna *) pan Jan; moja to wina co się stało, gdy nie śpiąc przeszłej nocy teraz zasnąłem jadąc, i nie słyszałem wcale co tam do pana mego było mówiono, a przecież po to właśnie za nim jadę, aby go od podobnych chronić przypadków. Tedy wiedcież panowie, że niema w tem milczeniu żadnej dla nikogo pogardy, tylko jest ślub rycerski milczenia i modlitwy, przez całą drogę z naszego Rabsztyńskiego zamku do klasztoru w Staniątkach. A to w celu odzyskania jakim cudownym sposobem srebrnego relikwiarza, jaki rozbójnicy zrabowali naszej pani wraz z innymi rzeczami. Dziwno mi tylko żeś waszmość pan nie poznał się na przyczynie tego milczenia, gdy takie i inne śluby to przecież zwykła rzecz rycerska.

— Głupsi — odpowie szlachcic — myśl że mię twój pan lekceważy, tak mię rozgniewała, że ani pomyślałem o ślubach. Ale żeby też o jeden relikwiarz takie śluby czynić, to też podejrzana jest rzecz: czyliż to taki bardzo duży on był? Czy może o samą świętość i błogosławieństwo jakie doń przywiązane wam chodzi?

— Jużci chodzi — potrząsł głową sługa — ale najbardziej o to chodzi, że ten oto pan Jan przywiózł sobie niedawno do dom bogatą żonkę, a teraz krewni nie chcą mu wiana jęj oddać, mówiąc, że bezpieczniejsza jęj chudoba u nich niż u niego w Rabsztynie, gdzie sławne błogosławieństwem opatrzone szczególniejszem relikwiarze, giną...

— Ha, ha, ha!.. — zaśmieli się rubasznie zawadyaki — patrzajcie jaki to dowcip krewieński, gdy wiana niema oddać chęci! Ho ho, kiedy tak, i kiedy w milczeniu jęgomości pana Jana z Rabsztyna niema dla nas żadnego despektu, to jedźcież sobie dalej spokojnie, i owszem szczęśliwej drogi życzymy, a panu Janowi z Rabsztyna jeszcze submisya się od nas należy za to, żeśmy go niesłusznie napastowali.

Tak zadecydowawszy napastnicy jeden po drugim przystępowali do pana Jana, usprawiedliwiając się i w krótkich

*) Zamek Rabsztyn był dawniej własnością Melsztyńskich ale gdy r. 1439 jeden Melsztyński dopuścił się najazdu na obradujących w Korczynie, tedy ścigany śmierć poniósł, a zamek jego Rabsztyn zabrany został na króla. Odtąd zamieszkiwali go różni panowie, a miejsce to stanowiło starostwo niegrodowe czyli królewskiczną.

dość przystojnych słowach przepraszając go za pomyłkę. Inni tymczasem rozwiązali sługę i pana, który wciąż dochowywał milczenia szepcząc modlitwy, poczem siadł na koń i już ruszał, gdy stanął przed nim znowu ów pierwszy spotkany szlachcic i z pokorną teraz miną i z kawałkiem okrutnie brudnej woskowej świecy w ręce rzekł:

— Mościwy panie! Jedziesz waszmość pan do kościołka w Staniątkach ze ślubem, a pewno oczywiście i z ofiarą, a otóż i ja w pewnej ciężkiej dolegliwości umyśliłem w tej chwili za waszmości przykładem złożyć tam ofiarę; a no ubogi jestem, nie posiadam obecnie nic nad tę świecę coby się kościołowi dać godziło, weźże ją a zapal sam na pierwszym od wejścia z lewej pości ołtarzu! Uczyni to w dowód chrześcijańskiego dla mnie przebaczenia, a zobaczysz że w sprawie z relikwiarzem Bóg ci za to dopomoże!

Pan ze spuszczeniem w ziemię oczyma szepcząc modlitwę, wziął świecę, schował w zanadrze i pojechał, a sługa podążył za nim. Na pierwszym dopiero noclegu spostrzegł ten ostatni, że trzos którym był opasany, wprawdzie znajdował się na swoim miejscu, lecz sporę sumki w nim, przeznaczonę na kosztą podróży nie było ani śladu, tylko dziwnie sprawne rozzerknięcie wskazywało, któredy wyszły pieniądze w chwili szamotania się i wiązania zapewne. Teraz zrozumiano nareszcie co to byli za ptaszki, udający szlachtę uczciwą, a niezający rzeczy tak zwyczajnej jak rycerskie śluby. Domyśliwszy się tego, pan Jan pożałował mocno, że nie porozumiał się z tymi samymi rabusiami o oddanie relikwiarza, do którego istotnie przywiązane było błogosławieństwo prababek, i poszkodowana pani serdecznie za nim płakała.

Pan Jan ukochany syn pierworodny, już dawniej miał myśl podobną, bo choć wstyd było prawemu szlachcicowi wdawać się w rokowania z rozbójnikami, to przecież i żał mu było niezmiernie matczynę zgrzyoty. Począł więc już cicho przez zaufanych ludzi czynić starania, w celu wywiedzenia się jakby można porozumieć się z dowódcami band, braci żebraków grasujących w okolicy, aby wykupić relikwiarz. Imiona tych dowódców znane były, bo bandy dzieliły się na oddziały pod ich wodzą; byli to więc dwaj Świeborscy i Kawka. Utrzymywali rozbójnicy że ich dowódcy byli szlachcicami polskimi, lecz było to kłamstwo krzyżackie, celem podburzenia Węgrów i Czechów na polską szlachtę, bo wszędzie i na pograniczu Czech i Węgier grasowały bandy pod wodzą tych nazwisk, a o Kawce chodziły nawet wieści że był kobietą, chłopką. Obok wszelkich starań innych w celu odzyskania pamiątkowego relikwiarza, młody pan Jan pomyślał także i o tem o czem dawni Polacy nie zapominali nigdy w strapieniach, to jest o modlitwie, poście i jałmużnie. Trzy te piękne a nierozłączne środki zjednania sobie łaski Bożej, ważną grały rolę wtedy wśród królów tak samo, jak wśród panów szlachty i ludu. I młody pan Jan zatem pożegnawszy pewnego ranka rodzinę, ruszył ze sługą do Staniątek, gdzie w klasztorze PP. Benedyktynek miał i siostrę młodzianką na wychowaniu, i matkę ojca, osiadł tam na resztę życia po śmierci męża, obyczajem dawnych wdów polskich. Przez ręce tej to babki właśnie chciał pan Jan złożyć dla ubogich jałmużnę swoją, bo uważano w takich razach mocno aby „nie wiedziała lewica co daje prawica”. Prócz milczenia i modlitwy ślubował jeszcze pan Jan nie wziąć nic do ust prócz chleba i wody aż do powrotu do Rabsztyna.

Otóż teraz domyśliwszy się, że ci do których przez zaufanych ludzi napróżno dotąd szukał drogi, byli może bliżej niż się zdawało, pożałował pan Jan na chwilę, że się z rabusiami swego trzosa nie porozumiał, ale mniemanych szlachty nie było już nigdzie ani śladu, a przytem przypomniawszy że dla rozmowy z nimi trzebaby z konieczności złamać ślub milczenia, pan Jan porzucił myśl swoją, i przedrzemawszy się dla braku grosza pod gołym niebem, pojechano dalej w takich samych jak poprzednio warunkach. Była chwila że zły o trzos skradziony, pan Jan chwycił z zanadru ową świecę ofiarną i już się zamachnął aby rzucić ją w rów przydrożny, gdy powstrzymała go myśl pobożna: a nuż ta ofiara

właśnie wyjedna upamiętanie dla złoczyńcy ofiarodawcy? Pocziwy pan Jan schował świecę troskliwie i jechał dalej.

Wkrótce ujrano wspaniałe wieżycy klasztoru PP. Benedyktynek w Staniątkach, jednego z najbogatszych w Polsce, a założonego w r. 1240 przez kasztelana krakowskiego, pana Klemensa z Ruszczy; ranek uśmiechał się okoliczną świeżą i bujną zielenią, a lekkie poranne mgły i białawe obłoki unosiły się na okół tego siedliska cnoty, niby modlitwy dziewczątek, których klasztor był pełen, gdyż zadaniem Benedyktynek było wychowywanie szlacheckich panienek.

— Ach mój Boże! — westchnął pan Jan serdecznie — pociesz mię też jako w zgrzyocie mojej, bo mi prawdziwie wstyd przed żoną, że mi jej krewni nie chcą zaufać jej majątku; i leż matczynych za relikwiarzem żał mi; nie stać mię abym taki ot kościół wystawił jak pan Klemens z Ruszczy, ale jużbym też choć jaką madziudzienką kapliczkę wedle mej możności wniósł na pamiątkę zniwolenia Boskiego, gdybym ten relikwiarz odzyskał. — I wjechał pan Jan tak myśląc za pierwszą bramę klasztorną.

(d. c. n.)

PSIEJDA

czyli:

Historja Azora, który,
O mało nie stracił skóry.

V.

Dużo poeci cierpień opiewali
Gdyż ból jest hydrą która nie umiera,
Lecz niczem męki są więźnia Omfalii,
Romea, Hamleta, Mackbeta, Wertera,
Niczem!... (tembardziej, że piewcy zmyślali)
Niczem przy bólu mego bohatera,
Bólu, jakowym wierna pierś zajęła
Kiedy się Zosia Azora przeleżała.

* * *

— Złękała się — jęknął — Zosia? Mnie? Azora?
Co za nią oddałbym sto razy życie!...
Co nie jem, nie śpię gdy ona jest chora
Co w wodę, w ogień szedłbym za to dziecię!...
O!... choć od świtu cierpię do wieczora
Wszystkobym zcierpiał i zniósł należycie,
Lecz dziś, gdy w serce zranion przez dziecinę...
Pereat mundus!... i ja sam niech ginę!

* * *

To jększy, Azor, w olbrzymiej boleści
Czerpnawszy siły jak ona olbrzymie,
Czując że żar ję w piersiach się nie zmieści,
Strasznym wysiłkiem żelaza rozimie...
Rozgiął je, zerwał jak rąbek niewieści,
Przewrócił stróża co przy bramie drzemie,
I pędzi prosto jak poniosą oczy
W stronę, gdzie Wisła mętne fale toczy.

* * *

Skoczyli gonić państwo, słudzy dzieci...
Próżno; znikł pędząc, z sierścią najeżoną,
Zwisłym językiem... aż gdzie fala świeci
Wpadł wśród ulicy w małej dziatwy grono:
Wnet obcy dzieciak i drugi i trzeci
Głaskać mu zaczęła głowę rozpaloną...
Pies stanął zdjęty nagle myślą rzewną...
Gdyby mu dano łzy, płakałby pewno.

* * *

Myśli o Zosi, Stasiu towarzyszu,
Tęsknota gwałtem psa za serce chwytą,
Widzi się z państwem w domowym zaciszu,
W oczach paniątek ich figielki czyta...
Marzy... Tymczasem, o! Zeusie-Jowiszu!
Z którego głowy zbroicą okryta
Wskoczyć miała mądrości bogini,
Cóż to uliczna dziatwa skrycie czyni?...

* * *

Niemądra dziatwa!... kiedy Azor marzy
Z sercem gwałtownie bijącym wśród łona,
Ona z radością szkaradną na twarzy
Pieszcząc go... wiąże flaszkę u ogona...
Spostrzegłszy zdradę, pies w gniew się rozżarzy
Szaleje jakby hyena rozżłoszczona,
Rzuca się, pędzi, siada na ogonie,
A brzydka dziatwa gna go klaszcząc w dłonie.

* * *

szcze stoją nie sprzątnięte, gdzieniegdzie zieleńią się łąki nad wstęgami rzek błękitnych, gdzieniegdzie czernieją lasy i wąwozy olchami zarosłe. Patrząc na jedną i na drugą stronę.

Pierwszą miejscowością godną uwagi to Tarnobrzeg czyli Dzików hrabiów Tarnowskich. Jest tu rzecz bardzo rzadka, starożytny zamek w stanie mieszkalnym, utrzymany z całym zamiłowaniem artystycznym i archeologicznym przez magnatów posiadających odpowiednie środki. W kraju jest dużo podobnie pięknych zamków, ale cóż, kiedy wszystkie są w ruinach. Nie brak jednak bogatych ludzi, którzy stawiają sobie nieraz kosztowne a brzydkie siedziby albo też nabywają za granicą wille i pałace.

Chciałoby się przypatrzeć wspaniałemu zamkowi Dzikowskiemu, ale kolej świszcze i mknie dalej. Mijamy Tarnów, Bochnię z kopalniami soli mniej sławnymi od Wieliczki i wreszcie dobijamy do tej upragnionej Wieliczki. W drodze przypominałam sobie piękną legendę o odkryciu soli tej zwyczajnej a niezbędnej rzeczy, której dawniej Polsce brakowało. Kiedy król Bolesław wstydlivy, posłał posłów do Węgier,



Gdyby mu dano łyzy, płakałby pewno.



Chrońcie się ludzie! oto pies szalony!

Rozbił nareszcie!... wtem krzykną z daleka:
— Chrońcie się ludzie!... oto pies szalony!
Pierzchnęły dzieci, kto żyw jest ucieka,
Ten i ów goni kijem uzbrojony,
Z trzech stron wrogowie, z czwartej szumi rzeka,
— Bij zabij — krzyczą; Azor odurzony
Kiedy okrażon jest coraz to cieśniej...
Co zrobił Azor, będzie w dalszej pieśni.

WAKACYE.

LISTY DWÓCH PENSYONAREK.

Fadzia do Helenki.

(Dokończenie).

Już z góry, na której stoi katedra i pałac biskupi nad samą Wisłą, widać nie tylko Nadbrzeże, leżące po tamtej stronie, ale zabudowania kolejowe i parę, buchającą z lokomotyw, trzeba się śpiesznie przeprawić przez Wisłę. Nie taka to zresztą rzecz straszna jak w Warszawie, bo Wisła wcale tutaj wspaniała nie jest. Przeprawiamy się więc z naszą małą walizką i nieodstępnym koszykiem, na drugiej stronie bierzemy je w rękę i biegniemy na kolej. Szczęściem zdążyliśmy jeszcze, otóż siedzimy w wagonie, jeszcze chwilką i ruszamy.

Okolica ciągle śliczna, falista, urodzajna, a słońce przyświeca, łąci rżyska, przerznięte tatarakami, które jedne je-

prosząc o rękę królowej Kunegundy, pytała ona posłów o potrzeby kraju, którego miała zostać władczynią. Posłowie skarżyli się na brak soli, której znów Węgry miały obfitość. Królowna więc prosiła ojca, by jej dał w posagu kopalnię soli, i otrzymawszy darowiznę, posłała poświęcony pierścionek i rozkazała ażeby go do kopalni tej rzucono. Potem pojechała do Polski i w miasteczku Wieliczce powitał ją król Bolesław. Kunegunda po chwili oświadczyła, iż zgubiła pierścionek, który tu znaleźć się musi, byle tylko szukano go w głębi ziemi. Według jej rozkazu zrobiono i odnaleziono pierścionek w bryle soli. Legendę tę ślicznie wierszem obrobił Adam Gorczyński, mama mi ją z pamięci powiedziała. Kończy się temi słowami świątobliwej Kunegundy.

„Król solną górę dał swojej córce
Dziś matce chrobrych Polaków,
A Bóg rozkazał tej solnej górze,
By sól przeniosła pod Kraków
Składając Bogu dzięki powinne,
Naród niech dzisiaj się szczyci,
Solą żywiły go kraje inne
Dziś solą inne nasyci”.

Stanęłyśmy też właśnie w Wieliczce i zaraz udałyśmy się do kopalni soli, ażeby ją zwiedzić. Mama dowiedziała się już napród jakie są godziny przeznaczone na zwiedzanie i trafiłyśmy na tę porę. Parę razy do roku, kopalnie są iluminowane ale trzeba na to wielkiej uroczystości. Zwykle bierze się tylko trochę ogni bengalskich, które rozświetlają obszerne ciemne przestrzenie.



Teatr anamicki na wystawie paryzkiej.



Tancerki jawańskie na wystawie paryzkiej.

Weszliśmy z mamą do biura, gdzie można dostać bilety wejścia, przewodników, oraz odpowiednie kostiumy, to jest płaszcze; narzuca się je na ubranie, bo wilgoć kopalni, słona woda kapiąca ze stropów i mokre ściany w ciasnych korytarzach, mogą zupełnie zniszczyć ubranie. Zaopatrzone w te płaszcze wchodzimy z przewodnikiem do rodzaju klatki. To jest nie my same, bo przyłączyło się do nas jakieś liczne towarzystwo złożone z pań i panów. Przyznam ci się iż drża-

łam, bo klatka była zawieszoną nad przepaścią, w którą wraz z nami spuścić się miała. Pochwyciłam mamę za rękę aż stary górnik, który służył nam za przewodnika zawołał: „Niech się panienka nie boi, my tu przecie spuszczałyśmy się dwa razy dziennie a nigdy nie było wypadku.”

Pomimo tego zapewnienia drżałam, nie wiem doprawdy czy to było ze strachu, lecieliśmy na dół, powietrze stało się duszne i tylko latarka rozświetlała ciemności. Czasem

przelatywaliśmy koło jakichś galery i widać było zamiast chropawych ścian, zagłębienia z migocącymi światelkami.

— Mamo to piekło! — szepnęłam.

Zdawało mi się iż czas spuszczenia był nieskończenie długi a przecież wszystkiego trwało to zaledwie kilkadziesiąt sekund.

Wreszcie uczuliśmy grunt pod nogami a górnik zaczął się śmiać i powiedział: „Oto i wszystko”. Byliśmy na niewiem którym pięttrze kopalni, bo tu są piętra tak jak w kamienicach, podobno na najwyższem, na tem co zwykle zwiedzają ciekawi.

Myślałam co prawda iż zobaczą tutaj ściany kryształowe, że w nich światło łamać się będzie tęczo jak w pryzmach, że wejdziemy w jakiś świat czarodziejski... Nic z tego moja droga, jesteśmy jakby w korytarzach piwnicznych, z których nikąd światło nie dochodzi, pełno tu podpór drewnianych a ściany są czarne, brudne, wilgotne, bardzo rzadko zamigocze w nich jaka solna grudka.

Przechodziliśmy tak przez mnóstwo przejść wąskich i przez olbrzymie sale, które na chwilę rozświetlały ognie bengalskie, bo inaczej nie byłybyśmy zrozumiwały ich ogromu, aż wreszcie doszliśmy do podziemnego jeziora, przewodnicy wprowadzili nas na tratwę i pozęglowaliśmy nakształt mitologicznych duchów do Tartaru. Tylko przewodnicy nasi nie mieli nic wspólnego ze straszonym Charonem, o którym była mowa przy historii Grecyi, kiedy to pan K. opowiadał nam o jej wierze i obyczajach. Ale co my, w tych naszych płaszczach, to wyglądaliśmy zupełnie jak duchy.

Żegluga nie trwała długo a po drugiej stronie jeziora, którego naturalnie wody są słone znajduje się najpiękniejsze miejsce w kopalniach—kaplica gdzie ołtarz i wszystkie ozdoby, wyrobione są z najczystszej białej soli.

Ta kaplica rzeczywiście wygląda jak z kryształu, a gdy zapalono ognie bengalskie i ściany się zaiskrzyły, był to widok prześliczny.

Na tem też kończy się oglądanie kopalni. Inną drogą zdążamy do wyjścia i znow siadamy do klatki, która tym razem wydzwignie nas z otchłani. Z jakąż radością witamy światło dzienne. Wszyscy przecieramy oczy, bo je razi blask słoneczny, trudno nam się do niego przyzwyczaić i uwierzyć iż jeszcze ze dwie godziny brakuje do zachodu!

Oddychamy pełną piersią czując dopiero teraz jak ciężko nam było pod ziemią i jacy biedni są ludzie, którzy tam ciągle pracują od świtu do nocy w kopalniach, a tylko w niedziele blask słońca oglądają.

Na pamiątkę naszej wycieczki kupiliśmy książeczki i różne drobne przedmioty wyrobione z najpiękniejszej soli.

Ślicznie wyglądały, cieszyłam się że dla ciebie mam taką pamiątkę, ale cóż, pierwszego wilgotnego dnia, zatarły się kontury tych ładnych cacek, zwilgły i trzeba je będzie chyba potłuc na sól miałką. Twoje muszelki są praktyczniejsze. W każdym razie przywiozę ci szczerki książeczki, na dowód żem o tobie myślała, ale ty wiesz o tem bez dowodu.

Kochająca cię *Jadzia*.

Teatr anamicki i tancerki jawańskie na wystawie paryzkiej.

Pomiędzy osobliwościami kuli ziemskiej na wystawie paryzkiej, teatr anamicki ściągają mnóstwo widzów. Urządzenie jego różni się wielce od teatrów europejskich, niema tu bowiem ani zasłony ani zmiany dekoracyi. Gdy rzecz ma się przenieść w inne miejsce, kilku ludzi z chorągwiami w rękę przebiega szybko scenę co oznacza zmiany, następnie wszystko idzie dalej zwykłym porządkiem. Aktorzy powtarzają odmienne role, a muzyka, która jest zbiorem najhałaśliwszych instrumentów, w miejscach gdzie mają się odzna-

czać grą wyborową, podwaja dzikość przeraźliwych dźwięków. Osobliwością tego teatru jest także i to, że aktorowie nie wymawiają żadnych wyrazów, lecz przedstawiają rzecz całą za pomocą gestów i krzyków brzmiących jak ryki i wycia, których z pewnością wydaćby nie potrafiło żadne gardło europejskie. Ubiorcy ich są oryginalne i wspaniałe, również jak cała wystawa. Na scenie przedstawionej na rycinie naszej, stoi jeden z aktorów z chorągwią, oznaczającą zmianę dekoracyi.

Drugą ciekawością wystawy, której podajemy również rycinę, są tancerki jawańskie, pomieszczone w bambusowej chatce. Taniec ich wogóle polega na na wdzięcznych ruchach i obrazowych postawach. Bywa to zwykle rozdaj pantominy, przedstawiającej jakiś ustęp z historii Jawy. Muzyka zastosowana do niej jest bardzo powolna i poważna.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

26 Maja.

Miał słusność nasz Holender, przeprawa pomiędzy chmarami i gromadami tych kamieni, których tu napchało się do licha, trudna była, długa okropnie, i nudna. Przypomniały mi się owe pielgrzymki o jakich u nas istnieje tradycja, a w których szło się trzy kroki naprzód a jeden w tył... Czółenko nasze z konieczności robiło prawie toż samo, kręcąc się i wykręcając wśród prawdziwych ławic pumeksu. O! czyliż w szkole przy lekcyi mineralogii oglądając kawaleczki tego dziwnego *plywającego* kamienia, pomyślałem iż będę tak musiał tańcować wśród jego gromady? Uwiązawszy się przecież, dotarliśmy nareszcie do pewnego rodzaju pomostu, z tutejszej grubiej trzciny, rzuconego naprędce w miejscu dawniejszej grobli i przystani, z których śladu nie pozostało. I tu ludzie jak w „*Javas eerste Punt*” usiłując o ile mogą odbić swe straty na tym złowrogim rozbójniku, który ich zniszczył, wybrukowali i brukują zniweczone i zburzone do szczętu drogi i drożyny dawniejsze, pumeksem, którym zasypał ich wybuch zeszłoroczny. Wzdłuż głównej ulicy wybrukowanej już tym kamieniem z przedpiekła (nie mogą powiedzieć „piekielnym kamieniem”, gdyż *ty* studyjująca mineralogią, wiesz dobrze że wyrażenie to ma znaczenie swoje odrębne) Chińczycy dawniejsi kupcy tutejsi, już ustawili ogromny szereg kramów, na miejscu dawniejszych sklepów, składów, faktori... po obu stronach tej nowo powstałej głównej, ulicy. Chińczyków tych nic na świecie nie obchodzi, oprócz ich osobistego, własnego zarobku. Jakkolwiek wykształcenie ogólne chińskie, to co zwiemy chińską odwieczną cywilizacją, a co znaczy „uzdolnienie do życia towarzyskiego”, jest rzeczywistością, przecież dziwni to są ludzie. Rozkoszne nad rozkosznemi miasto, o ślicznych willach artystycznych, ustawionych pod cieniem przepysznych kwiatowych olbrzymów tutejszych znikło w przeciągu 24 godzin z powierzchni ziemi, co doprowadziło do rozpacy tysiące pozostałych przy życiu ludzi... a Chińczykom to obojętne! Na gwałt naklecieli budek i szalasów i od pierwszej chwili po przejściu katastrofy starają się ją samą wyzyskać, dostarczając nieszczęśliwym najniezbędniejszych potrzeb za szalone ceny... choćby świat się zawalił byle handel szedł, a oni mogli pieniądze gromadzić, są zadowoleni. Oprócz tych kramów i innych świeżo skleconych szalasów, na miejscu przepysznego miasta zastaliśmy pustkę, nagą, pełną czarniawych otworów, z których parujące pod płomiennem słońcem miazmaty, roznoszą zaraźliwe choroby. 1500 ludzi zginęło bez śladu, tak jak i lekkie domostwa na miejscowy sposób z bambusu zbudowane; po europejskich gruntowniejszych budynkach pozostały tu i owdzie przy bliższem

rozpatrzeniu kupki gruzów. Chińczyk, usłużny faktor jakich kilku otoczyło nas przy wylądowaniu, prowadzi nas do domu pana Best kupca Holendra, do którego mamy list od jego współnika z Batawii. Dom świeżo wzniesiony na grzędze z bambusu, stoi na wyniosłości, w oddaleniu od szczątków nie dawnego miasta. Pan Best przyjmuje nas ponuro i mruklawie, ale pomimo to serdecznie, zatrzymuje prawie gwałtem u siebie nie pozwalając „włóczyć się po tem nieszczęsnem cmentarzysku, z którego ziele śmierć”. I tu jednakże pan Antoni nie wiele się dowiaduje od naocznego świadka. Że zaś ciekawi turyści angielscy już także szturmowali do niego w podobnych jak my celach, przeto Holender, zły jak licho, sapiąc z gniewu mruczy po niedźwiedziemu:

— Czyście poszaleli ludzie!.. Co ja mogłem widzieć, co ktobądź miał widzieć, choćby nawet miał ochotę do czynienia spozstrzeżeń gdy ciemność czarniejsza od najczarniejszej nocy ogarnęła wszystko, o godzinie dziesiątej rano. Dzieci, mnie i żonę moje, ocalił jedynie jój przestraszony nerwy, którym powodowana uciekła, gdy tylko zciemniać się zaczęło do ukochanej swój przyjaciółki, żony posła, której dom stoi na znacznej wyżynie tu poza miastem, co go też ocaliło, bo fala nie dosięgła tak daleko. Ja byłbym został na miejscu, tylko bojąc się puścić nieprzytomną z przerażenia kobietę z dziećmi, podążyłem za nimi. Nazajutrz z pewną trudnością poznałem miejsce, na którym stał piękny nasz dom własny, otoczony ogrodem, w którym brakło mi już tylko trzech egzemplarzy do skompletowania całkowitej znaniej dotąd flory tutejszej; a moim dzieciom brakło tylko jednego rodzaju huśtawki z kołyskowym ruchem na biegunach... wszystkie inne, wirowe, konne, kolebkowe, wiszące, już tam były... — Holender zamilkł sapiąc jak miech kowalski. Stracił on w dniu 27 Sierpnia 1883 roku wszystko co zapracował przez ciąg dosyć już długiego życia, a był jednym z najbogatszych kupców i oto teraz dławił się łzami wspominając o... swoich kwiatach... i zabawkach swój dziatwy.

— Otóż Holender czystej krwi z narodową swą manją kwicianą i miłością swój dzieciarni... — zamruczał pan Antoni. Tymczasem rzekła pani Van Best, na którą ciągle ze zdumieniem patrzyłem, bo otoczona całym podobno tuzinem sporych dzieci i niezbyt dawno przebywszy straszną katastrofę, o której bez widocznego drżenia słuchać ani wspominać nie mogła, wyglądała zupełnie jakby jeden z najładniejszych okazów flory, tak ulubionej przez jój małżonka.

— Nic panu nie umiem opowiedzieć doprawdy — odrzekła na pytania pana Antoniego, probującego od niej zaczerpnąć wiadomości, — bo prócz ciemności, huk i szum wichru łamiącego drzewa, odbierały mi zupełnie przytomność. Instynktowo tylko gromadząc dzieci koło siebie i wołając męża, biegłam do osoby, u której przywykłam oddawna szukać pomocy w każdym trudnym razie; ani przez myśl mi nie przeszło, że dom jój stoi na wyżynie, która nas miała ocalić. Ochłonęłam ze strachu i oprzytomniałam dopiero gdy rozwidniło się zupełnie dnia następnego, a wtedy... Telok-Betong już nie istniało. — Na prośbę pana Antoniego, pan Van Best zaprowadził nas do stóp wzgórza, na którym stał dom gdzie się schronili, i tu widoczne jeszcze i uderzająco widoczne, były ślady wysokości wody. Wymierzywszy je pan Antoni ścisnął sobie skronie oburącz, jakby głowa pęknąć mu miała:

— I trzeba tego jeszcze nieszczęścia w nieszczęściu że o całym ogromie tego zawału, tego muru wodnego czy bałwanu, który wyskoczywszy z morza padł na wszystkie okoliczne wybrzeża niweczając w nich życie... możemy wnioskować tylko z następstw — zawołał. Czyliż przyroda umyślnie w tajemnicy odbyła straszną swą robotę aby widokiem jój nie odebrać reszty rozumu tym, których postanowiła zostawić przy życiu?

— Zamiast łamać głowę nad pytaniami nie rozwiązalnymi, czy nie wolelibyście panowie zobaczyć jeszcze następstwa owej tajemniczej roboty?

— Jesteśmy gotowi!

— Nie; będziecie gotowi po obiedzie dopiero, z którym

pani Van Best czeka już tam nas prawdopodobnie, tymczasem słońce przesili się trochę i ułagodzi, inaczej upiekłoby nas w drodze.

Przy obiedzie mruklawe małe Holendrzątka podobne jak tyleż kropel wody do własnego ojca i do małych niedźwiedzków jednocześnie, spoglądały na mnie chmurno, jakby mię chciały podrapać ilekroć dziękowałem za potrawy, których byłem syty, aż nareszcie najmniejsze malce wybuchnęły gniewną skargą, pokazując na mnie palcami:

— Matko on nic nie je!... on, ten mały wstyd robi naszemu domowi! nie je!... Chcąc nie chcąc musiałem rozśmiać się z tój najwężej gościnności, a także z tego małego jakim nazywały mię dzieciaki, zachowujące co prawda pewną powagę, może dla tego, że choć nie duże, przecież wszystkie są bardzo jakoś grube i kościste. Po obiedzie i cygarach, które mi i mnie częstowano, poszliśmy wszyscy w głąb kraju, potykając się i kalecząc o pumeks, brnąc w popiele, gramoląc się w uschłym błocie i kałużach jeszcze nie wyschłych. Często-kroć musimy nawet odwoływać się do pomocy czterech służących. Pomimo że słońce na ten dzień złożyło koronę najognistszej swojej potęgi, przecież upał był straszny.

— Nie lękasz się pan na taki upał wyprowadzać małe dzieci? — szepnął pan Antoni patrząc ze skrytem przerażeniem, na liczny zastęp malców holenderskich.

— Od dnia 27 Sierpnia 1888 roku nie rozstajemy się nigdy ani na jedną godzinę — zamruczał Holender. Co do porażenia słonecznego, o którym myślisz pan zapewne, to zabezpieczamy odeń dzieci i siebie o ile możemy. — To mówiąc pan Best uklonił mi się z lekka kapeluszem i jednocześnie niespodzianie zdjął mi z głowy mój własny... Zaniemówiłem jakoś na razie, nie pojmując co się dzieje.

— O!.. otóż to nie zabezpiecza — rzekł Best spojrzawszy wewnątrz mego kapelusza, w jednej chwili zerwał gruby mięsisty liść jakiś, przy ziemi wyglądający z pośród gruzów, szczątków i popiołu, i rozdarłszy go umiejętnie, ale łatwo na płaskie połowy, wysłał niemi dno mego kapelusza i włożył mi go na głowę; uczułem chłód więcej niż miły; w jednej chwili przypomniałem, że malce zrywali już takie liście i kładli je sobie w kapelusze, co ja brałem za zwykłe dziecinne swawole, Van Best tymczasem zerwał inny liść nie tegoż samego nawet kształtu i rozdzierając go na płask, a jednocześnie wskazując na kapelusze pana Antoniego:

— Sprobuj pan — rzecze. — Zamiast „próbować” kładąc w kapelusze, pan Antoni pochwycił liść rozdarty i oglądać go zaczął.

— *Cactae!* — zawoła nagle.

— A tak... ale niech one się zwą jak chcą, byle mi dzieci ochroniły od porażenia słonecznego — odparł zawsze mruklawie pan Best i w chwili gdy pan Antoni oglądał ów liść, Holender z zimną krwią zdjął mu kapelusze z głowy i włożył weń tak jak mnie przed chwilą liść na płask rozdarty.

— I krewny mój Van Dyemen — rzekł jeszcze — dowodzi gwałtem na zasadzie książek, podręczników specjalnych, że *Cactae* z rodziny roślin dwuliściowych odznaczające się dziwnymi kształtami, a więc niezmiernie widoczne wśród całej roślinności, istnieją tylko w Europie południowej, Chinach właściwych i w Afryce, a tutaj nie!... A otóż są!.. i służą za ochronną od słońca podszewkę w kapeluszach moich dzieci i moim, a zatem czemuż Van Dyemen upiera się!..

Pan Antoni z liściem płaskim w rękę wysłuchał uważnie tego niezbyt naukowego wykładu, a potem żywo jął zapisywać coś w pugilaresie. Małe Holendrzątka tymczasem, zbliżyły się do służących niosących na rękach spore koszyki, i porozumiewając się z matką tajemniczemi wielce i podejrzaniemimi mruganiem, podały każdemu z nas po wyborzym chłodzącym owocu, zaczynając od swego ojca, nie omijając nikogo, ani samych siebie: były to przedewszystkiem orzechy kokosowe nienaruszone i młode, o skorupie niezmiernie twardej i grubiej, w której przy osadzie, Holendrzątka umiały, bardzo zręcznie i łatwo, robić ostrym świderkiem czy nożykiem małe otworki, a przez te wypijaliśmy pyszne chłodne mleko koko-

sowe wygodnie, jak ze szklaneczki, gdy tymczasem chcąc orzech rozłupywać, trzeba do tego znacznej siły i jeszcze mleko rozlałoby się i zmarnowało. Gdy jednak powiedziałem, że nie kosztowałem takiego orzecha dojrzałego, któryby zamiast ożywczego mleka, miał już wytworzony zeń słodki migdał ogromny, wtedy dzieci natychmiast wybrały stosowny orzech, poznając go zewnątrz po wyglądzie i otworzywszy umiejętnie na kant, podały mi migdał duży taki, że wygodnie służyć może za całkowity podwieczorek, słodki był i smaczny, ale przyznałem, że mleko z młodszych owoców pożądsze jest, bo chłodzi nasycając. Były w tajemniczych koszykach także ananasy i banany, wszystko to zrywane przed kresem właściwej dojrzałości, aby miało jeszcze przyjemny kwas, który następnie zmienia się w słodycz nadmierną. Dzieci częstowały uprzejmie, ale gdy chciałem odmówić dziękując, zaraz robiły srogie miny, nawet małe panienki marszczyły się wtedy okrutnie, co przy ładnych i miłych, ale trochę szerszych holenderskich buziakach, czyniło je podobnymi do małych kotek rozgniewanych, gdy ci w oczy parsknąć mają z gniewu, kocim zwyczajem. Szczególny ten objaw gościnności bawił mię nie pomału, przypominając trochę naszą tradycyjną gościnność, dawniej niemniej natarczywą podobno, choć popieraną uściskami i zakłęciami, zamiast tych mrukliwych oznak niezadowolenia. Spostrzegłszy moją chętkę do śmiechu, dzieci bardzo bystre i uważne podobno, zapytały z czego się śmieję, wyznałem szczerze.

— O!... — rzecze na to jeden ze starszych chłopców — i my wiemy, że niegrzecznie jest uprzykrzać się, choćby nawet nadmiarem dobrych chęci, ale pomyśl tylko ty młody chłopcze, jacy my byliśmy szczęśliwi przed niedawnym czasem... co to krewnych i znajomych dążyło do nas na każde święta skwapliwie z wybrzeży jawańskich, z Batawii, Buitenzorg Andżer, cośmy to nie dokazywali w naszym sadzie ogromnym na huśtawkach, a teraz!... co?... Wszystko przepadło, nikt ani zajrzy do nas, bo niema po co, a w dodatku każdy boi się zaraźliwych chorób, powstających z bagnisk, wśród szczytów zburzonego Telok-Betong: od dziesięciu miesięcy ty jesteś jedyny nasz gość, wyobraź sobie!... a przecież ludzie jesteśmy, do towarzyskiego życia stworzeni. Co dziwnego żeśmy się stęsknili i podziczeli; pomimo że doskonale rozumiemy i dziękujemy za to niebu codziennie, iż w ogólnem i tak niezmiernem nieszczęściu, że o podobnem nie wie historia, my, straciliśmy tylko majątek i przyjemności...

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Po zamknięciu wystawy powszechniej w Paryżu, powstał projekt zachowania główniejszych zabudowań w całości, w celu urządzania tamże co roku jarmarku międzynarodowego. Projekt ten znajduje się w związku z innym, zrobienia Paryża dostępnym dla dużych statków morskich, a to przez zbudowanie odpowiedniego kanału łączącego miasto z morzem.

Podczas ostatniej kadencji parlamentu, postawiono wniosek, aby rząd polecił rozpatrzyć projekt budowy kanału morskiego od Rouen do Paryża. Komisya wyznaczona na ten cel, zbadawszy rzecz całą doszła do przekonania, że projekt ten jest wykonalny, nie powziąwszy wszakże stanowczej decyzji. Obecnie sprawozdanie komisji zostało wydrukowa-

ne. Komisya uznaje, że paryżki kanał morski, zwiększy o wiele ruch handlowy Francji. Złączywszy Ocean ze stolicą, a tę ostatnią, z głównymi punktami handlowymi świata, kanał ten pozwoli Paryżowi konkurować z Antwerpią, portem, który coraz bardziej podnosi się ze szkodą interesów Francji, będzie też ważnym dla klasy robotniczej, a z Paryża zrobi doskonały punkt handlowy. Dla przeprowadzenia kanału nie istnieją żadne trudności techniczne. Koszt budowy wynosić ma 2,000 milionów fr., a suma ta wróci się z eksploatacji kanału w pierwszych zaraz latach. Wedle obliczeń, szerokość kanału ma być o półtora raza większa od kanału Suezkiego.

Pisano już nieraz o długowieczności żółwi, jako nowy dowód tego, jeden z dzienników amerykańskich przytacza, że pewien dzierżawca z okolicy Nowego Yorku spotkał niedawno żółwia, który posuwał się bardzo powoli, dzierżawca zbliżył się więc do niego i zobaczył że miał na skorupie wryty napis z datą dnia 10 Sierpnia 1771 roku żył więc już lat przeszło sto siedmnaście.

Łamigłówka trójkątna.

(Od Masława dla Jasia B. w Grodzisku.

1

.

.

.

.

6

.

.

.

.

6

Zamiast kropek wstawić litery tak, aby złożyły w obu kierunkach od pierwszego do szóstego numeru nazwę dwóch miast gubernialnych w Polsce. Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zaimek osobisty. 3. Bożek wiatrów. 4. Sposób czesania. 5. Król Persów. 6. Prorok Izraelski.

ZAGADKA.

Biegnę szybko a nie mam nóg,
Ciągłe z sobą przynoszę zmiany,
Nie mam oręza, a jestem wróg,
Co niszczy wszystko co widzi zdradziecko.
Nie jestem z srebra, ni złota ulany
A jestem cenny, wierząc mi dziecko.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

SoK—KloN—AmazonkA—RajmunD—BabelmandeB
— EwA — KracH.

Skarbek — Habdank.

Na kolonie letnie złożyli:

Maryanek rs. 1. — A. Jurjewicz rs. 20. — Bławatka z nad Horynia rs. 1.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew).— Podziemia barwałdzkiego zamku p. Boguchwała. — Psiejda, wiersz (z drzew). — Wakacye, listy dwóch pensyonarek. — Teatr anamicki i tancerki jawańskie na wystawie paryżkiej (z drzew). — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Wilk (z drzew.) — Królewna Chmurka p. M. J. Z. — Na wakacyach p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówka i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

WILK.

Wśród gęstego lasu, pod dużym kamieniem był dół. Nie był on bardzo głęboki, ale dosyć obszerny, a przytem cały wyłożony liśćmi i mchem.

W dole tym zamieszkiwała rodzina wilków, ojciec, matka i dwoje dzieci.

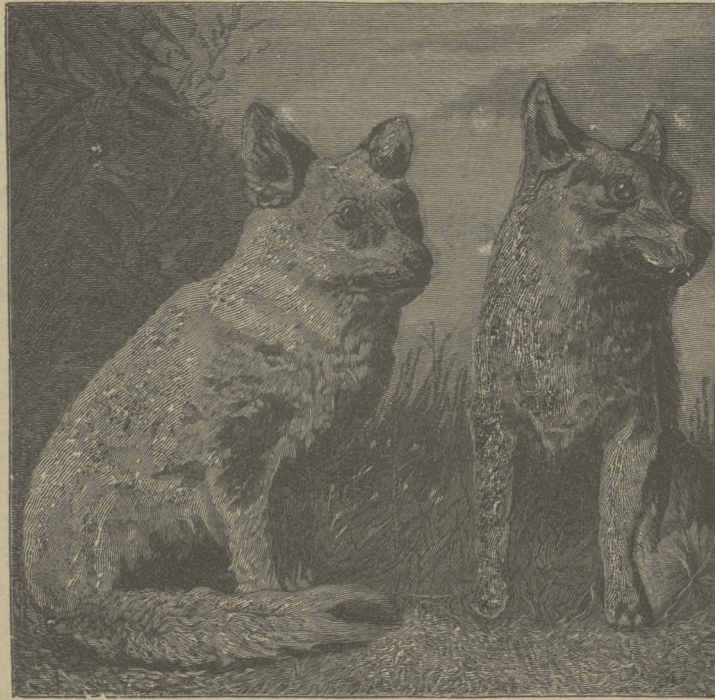
Rodzice byli bardzo podobni do siebie, mieli jednakie szare futerka, duże uszy sterczące, takie same ogony

krzakom i łąkom, próbowały biegać i niby mocować się z sobą, przyczem przewracały się niezgrabnie.

Podczas gdy się dzieci tak zabawiały, matka chodziła na polowanie i przynosiła to kreta, to jeża, to zająca, a czasem udawało jej się złapać ptaszka. Z początku przynosiła dzieciom zwierzęta zduszone, a potem zaczęła im dawać żywe i pokazywała jak je mają dusić.

Wycieczki takie odbywały się coraz częściej, bo się wilkom nie chciało już siedzieć w ciemnym dole.

Ale matka za to miała coraz więcej pracy: musiała



Wilk.

puszyste i długie, a nawet oczy błyszcząły im jednakowym ogniem, niby dwie świeczki.

Matka bardzo troskliwie pielęgnowała swoje dzieci, ogrzewała je, karmiła mlekiem własnym i ochraniała od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Od czasu do czasu wychodziła, ażeby wyszukać pożywienia, a wtedy ojciec zastępował jej miejsce i również dobrze dzieci pilnował.

Nareszcie małe wilczątka podrosły trochę i można je było na świat wyprowadzić.

Jakaż to była uciecha!

Wilczęta z ciekawością przyglądały się drzewom,

malców nie tylko żywić, ale i uczyć gdzie mają pożywienia szukać i jak zdobycz dostać.

Przynosiła im żywego zająca i puszczała go.

Zając biedny uciekał, a małe wilki goniły go, łapały i rozszarpały w końcu. Wkrótce tak się wprawiły, że w jesieni same sobie radziły, równie dobrze jak rodzice.

Co prawda, nie zawsze to przychodziło łatwo: czasem wypadało parę godzin czekać na zdobycz, a czasem pół mili przebiegnąć, goniąc za zwierzyną.

Takim sposobem przeszło lat parę. Wilki tymczasem rozrosły się, były coraz silniejsze i coraz śmielsze.

Dobrze im było na świecie i tak szczęśliwa dola byłaby może ich udziałem do końca życia, gdyby nie nieszczęśliwy wypadek.

Przechodząc razu jednego brzegiem lasu, spostrzegł młody wilk stado krów. Zaiskrzyły mu się oczy na widok tak pożądaną zdobycz.

Ale uchwycić krowę to rzecz nie łatwa, zwłaszcza w obecności pastucha i psa, czujnego stróża. Wilk nasz jednak nie dał za wygraną, przykucnął za dużym pnem i czeka...

Nadszedł wieczor, pastuch popędził stado i sam wolno szedł za niem. Krowy niechętnie wracały do domu, a pies biegł to za jedną to za drugą, popędzając pozostające na końcu. Bacności psa uszło jednak młode cielę, które zatrzymało się w wąwozie, a znalazłszy w nim smaczną trawkę, zaczęło zajadać, nie zważając na to, że stado już było daleko.

Pastuch również nie wiedział o zbiegu, ale wilk za to bacznie przyglądał się cielęciu. Pędem puścił się w stronę wąwozu, porwał biedne zwierzę i pociągnął do lasu. W parę godzin już było po cielęciu.

Zasmakowało widać to mięso wilkowi, zaczął bowiem coraz częściej urządzać sobie takie uczty i porwał w ten sposób kilkoro owiec kóz i cieląt.

Biedny pasterz musiał ciężko odpowiadać za stracone zwierzęta.

Domyślał się jednak kto mu tę krzywdę wyrządza, a gdy w żaden sposób swego stada nie mógł upilnować, zaczął prosić wieśniaków ażeby zrobili obławę na wilki.

Wieśniakom żal było starego pasterza, zebrali się pewnego dnia gromadą wszyscy, uzbrojeni w fuzye i kije i podążyli do sąsiedniego lasu. Otoczyli las ze wszech stron i zaczęli strzelać.

Trudno było walczyć z ludźmi, to też i młody wilczek nie zdołał się obronić, ugodzony kulą w głowę zachwiał się i padł nieżywy.

Smutny był koniec, ale nikt go nie żałował bo za dużo robił szkody.

Skórę z wilka zdarli wieśniacy i ofiarowali pasterzowi na kozuch.

Powiadają, że wkrótce cała rodzina wilcza wytępioną została przez nich.

Marya Weryho.

Królowna Chmurka.

(Dokończenie).

Gdy królowna przebudziła się z rana i przeciągając się zaczynała na miękkim swem łóżeczku, na przepysznej pościeli z łabędzich puchów, atlasów, batystów i koronek, natychmiast ochmistrzyni i kilka panien dworskich otaczały łóżeczko, podnosząc wspaniałe kotary z purpurowego aksamitu, złotymi frendzlami i sznurami ozdobione. Jedna panna służebna wkładała na nóżki królowny cieniutkie pończoszki i pantofelki różowe, lub niebieskie atlasowe, inna trzymała już w pogotowiu koszulkę batystową, koronkami oszytą, sama zaś

ochmistrzyni zbliżała się uroczyście, trzymając w ręku gąbkę i srebrną miednicę z wodą.

Niełatwa to bowiem była sprawa namówić królową Chmurkę, aby się umyć raczyła. Na sam widok wody okropnie brewki marszczyła, buzię krzywiła do płaczu i biedna ochmistrzyni zazwyczaj najrozmaitszych podstępów i dowcipnych sposobów używać musiała, nim jej się udało tak trudnego zadania dokonać. Tymczasem nadworny lekarz, wielki mędrzec i astrolog, powiedział, że mała królowna powinna koniecznie obmywać się zimną wodą, ażeby zdrowo rosła i sił nabierała.

Czasem ochmistrzyni zdołała jakoś zdurzyć królową opowiadaniem o nadzwyczajnych niespodziankach, które na nią czekają w sali, a których przecież obaczyć nie mogła, póki się nie umyje i nie ubierze. Nie zawsze jednak Chmurka tych niespodzianek była ciekawa, więc trzeba było używać do pomocy i królową, i nawet samego króla odrywać od ważnych spraw stanu. Rodzice prosili, błagali, składali ręce, a trwało to czasem dość długo, nim królowna nakoniec, więcej znudzona niż rozczulona tem wszystkim, dała się w końcu nakłonić do wielkiego poświęcenia i pozwoliła ochmistrzyni przystąpić do siebie z gąbką w wodzie umoczoną.

Gdy wreszcie umyto już królową, uczesano, ustrojono paradnie, zimną w sukienkę aksamitną, purpurową lub błękitną, okładaną gronostajami, a latem koronkową z przepyszną szarfą różową lub niebieską, na łokieć szeroką, prowadzono ją do jadalni na śniadanie. Tu już stała w pogotowiu szumiąca czekolada w prześlicznym kubeczku złotym, a obok na takimże koszyczku różne biszopciki i ciasteczka. Nim jeszcze królowna pokosztowała czekolady, zawsze z góry już wołała że nie słodka, zagorąca, lub wystygła. Natychmiast paziowie, usługujący przy stole, dodawali cukru, studzili lub odgrzewali, królowna raczyła pić czekoladę, brała ciastko, rozłamała, pokosztowała, rzucała, próbowała drugie, trzecie, zwykle dziesięć zaledwie ją zadowolniło i krzywiąc się, przebierając, spożyła wreszcie śniadanie.

Nowe zadanie, także niełatwe, czekało teraz ochmistrzynią. Potrzeba było różnemi łagodnemi sposobami, nie używając broń Boże rozkazów ani przymusu, skłonić królową Chmurkę, ażeby się po trochę uczyła. Bo nawet i małe królowny uczyć się muszą, inaczej, doszedłszy do lat, musiałyby się wstydzic swojej niewiedomości i byłyby nieszczęśliwe. Król i królowa chcieli też koniecznie, aby ich jedynaczka umiała to wszystko, co umieją zazwyczaj dziewczątka w tym wieku; lecz z góry zapowiedzieli ochmistrzyni, że zmuszać jej do nauki nie można, tylko taki sposób wynaleźć, żeby sama dobrowolnie się uczyła.

Biedna ochmistrzyni nieraz głowę łamać musiała, nim taki nadzwyczajny sposób wynalazła. Ale z królem i królową nie było sprzeczki, rozkaz należało wypełnić bez szemrania, więc ochmistrzyni robiła, co mogła. Chcąc wyuczyć małą królową poznawania liter, kazała cukiernikowi pałacowemu powyrabiać duże i małe litery z cukru bardzo ozdobnie zabarwione, sama zaś powystrzygała także same z kolorowej tektury. I tak na przykład, ażeby wbić w pamięć dostojnej swjej uczennicy kształt litery A, układała na wysokości półeczce, której

królewna Chmurka dosięgnąć ręką nie mogła, różne tekturowe litery i kilka cukrowych A. Królewna domagała się, aby ochmistrzyni dostała i dała jój literkę cukrową, a ta udawała, że nie wie o co idzie i raz po raz podawała tekturowe, póki królewna nie wskazała linijką złotą i nie nazwała trafnie litery A. Potem cukiernik królewski robił znów cukrowe zgłoski i całe wyrazy, póki Chmurka nie wyuczyła się czytać.

Pojmujecie, że nieprędko królewna tym sposobem nabyła umiejętności czytania, bo cukrowe te lekcye nie mogły być długie, ażeby uczennica niestrawności nie dostała. Z pisaniem poszło już łatwiej, z innemi naukami także, bo królewna na szczęście była pojętna i zdolna, polubiła więc wkrótce naukę, i rzeczywiście z własnej ochoty uczyć się zaczęła, jedyną nawet rozrywką, która ją choć na chwilę czasem rozchmurzała, było czytanie ciekawych książeczek i słuchanie niezmiernie zajmujących wykładów ochmistrzyni. Ale to były tylko krótkie chwile, zresztą ciągle prawie królewna Chmurka dąsała się i grymasiła.

Kończyła już rok ósmy i zbliżał się własni dzień jój urodzin, a miał być jak zwykle uroczyste obchodzony, zapowiedziała też przybycie swoje chrzestna matka Chmurki, królowa sąsiedniego państwa, a zarazem wielka czarodziejka, Piorunną zwaną. Królestwo oboje byli uszczęśliwieni, gdy goniec przybył z tą wieścią, nie wątpili bowiem, że córeczka ich otrzyma jakiś dar czarodziejski od chrzestnej matki w dzień swoich urodzin, Ach! cóżby to było za szczęście, gdyby Piorunna potęgą swoją zechciała ukochaną ich Chmurkę rozchmurzyć, tę wiecznie zadąsaną i skwaszoną grymaśnicę zamienić na dziewczynkę wesołą, uśmiechniętą, jak inne dzieci jój wieku.

M. J. Z.

NA WAKACYACH.

(Dalszy ciąg).

— O, tak, tak, babunia będzie bardzo zadowolona — rzekła Kazia — szkoda tylko że naszej nauczycielki jeszcze niema, a sami, nie wiem czy sobie damy radę.

— Abyśmy się tylko dobrze ról nauczyli — przestrzegała Mila — to potem ciocia nam dopomoże.

— A może też i p. Sabina wróci, czekamy od niej listu z zawiadomieniem kiedy konie posłać — mówiła Kazia — ach to byłoby wybornie, p. Sabina taka dobra, taka wesoła, doradziłaby nam najlepiej.

— Choćby na trzy dni przed imieninami przyjechała, to jeszczeby wszystko złe naprawiła, byleśmy tylko umieli dobrze role. Ja się nauczę, ty Kaziu także, największy kłopot to...

— Już wiem kogo masz na myśli — rzekł Guccio — sądzisz może, że ja dla babuni nie będę chciał nauczyć się i popracować, ja, to już najgorszy.

— Nie, nie jesteś najgorszy — rzekła Mila — tylko nie umiesz się zastanawiać, a co gorzej wytrwać w postanowieniu.

— Ale nauczymy się, nauczymy — mówiła Lucia, która do wszystkiego bardzo prędko nabierała ochoty — byle tylko jaką sztukę wybrać jak najprędzej.

Gdy tak rozmawiają, nadeszła mama z wiadomością, że jutro przyjedzie p. Sabina, właśnie przyniesli list z poczty, w którym prosi o konie do stacyi.

Radość Mili i Kazi była wielka, wiedziały, że panna Sabina wybawi je z kłopotu, bo i komedyjkę wybierze, i z malcami da sobie radę.

I rzeczywiście, na drugi dzień przed wieczorem panna Sabina przyjechała, powitana przez wszystkich serdecznie.

Gdy się dowiedziała o projekcie niespodzianki na imieniny babuni, przyrzekła dzieciom swą pomoc, a na drugi dzień pisała i pisała od rana do wieczora, nawet Kazia i Mila już się spać kładły, a p. Sabinę zostawiły jeszcze piszącą.

Dziwiono się potem w domu, że dzieci nagle ucichły z p. Sabiną ciągle miały narady, to w ogrodzie, to w lesie, a jeżeli nie można było wyjść dla wielkiego upału lub deszczu, siedziały w jój pokoju na górze, i rozmawiały po cichu. Nikt nie wiedział co się to znaczy, bo nawet mama nie była dopuszczoną do sekretu, żeby teatr i dla niej był niespodzianką.

Ale i mama przygotowywała dla dzieci niespodziankę, szczególnie dla Julci i Władzia.

Dzień za dniem upływał, aż nadszedł nareszcie upragniony, bo jutro już wypadają imieniny babuni.

Przed wieczorem, dzieci jak zwykle szły z p. Sabiną do ogrodu, gdy nagle Guccio zawołał:

— Goście jadą! goście! o, jedzie powóz w cztery konie.

Wszyscy spojrzeli ciekawie.

— Ktoby to mógł być — szepnęli.

Powóz się zbliżał, widać już było, jak konie raźnie wyrzucały głowami.

— To nasze konie — rzekła Kazia — tak, poznaję i Andrzeja.

Cała rodzina zebrana na ganku oczekiwała przybywających.

Stanęli... i... naraz dwa głosiki rozbrzmiały w powietrzu.

— Tatuś! mama!

Byli to w istocie rodzice Julci i Władzia.

Jakże opisać radość dzieci, tulonych ze łzami do stęsknionych serc. Pytaniom ani uściskom nie było końca, tatuś kochany tak dobrze wyglądał, i mamusia powiedziała, że już zdrów zupełnie. Przyjechali też i rodzice Mili i Guccio, nowa uciecha, nowe powitanie, dzień skończył się bardzo wesoło, a we wszystkich sercach radość gościła.

— Co się to znaczy żem dziś jeszcze kochanych wnucząt nie widziała — rzekła babunia na drugi dzień przy śniadaniu, gdy jój już wszyscy starsi złożyli życzenia — może jeszcze w łóżeczkach małe śpiochy?

— O nie — rzekła mama z tajemniczą miną — wstali oni dziś bardzo rano, ale, wiesz, jeszcze nie mogą.

Mama od wczoraj wiedziała sekret, bo tyle potrzebowano od niej różnych rzeczy, że dłuższa tajemnica by-

ła niemożliwą. Babunia już się nie pytała, a panna Sabina dodała:

— Choć ich jeszcze niema, ale pamiętają dobrze o dniu tak dla nich drogim.

Kończono obiad gdy wszedł Michał, i podał jakiś duży złożony papier.

— Co to? — pyta tatuś.

— A to proszę pana afisz jakiś — odrzekł Michał, uśmiechając się trochę — przyjechali aktorzy i proszą czy mogą grać komedią, jest ich cała bryka.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział tatuś, i podał babuni afisz, na którym był tytuł sztuki i nazwiska grających osób. Aktorzy pozostali jednak ukryci do wieczora. Koło piątej przyjechało kilkanaście osób z sąsiedztwa, i wielkie było zdziwienie, gdy zaproszono wszystkich aby weszli na górę, gdzie ujrano w dużym pokoju urządzonej scenę i krzesła dla gości. W pierwszym rzędzie, w środku, stał fotel ubrany kwiatami, przed nim rozpostarty był dywanik, podsunięto także kanapkę pod nogi z prześlicznym bukietem wyszytym na kanwie. Babunia odrazu spostrzegła te przygotowania i aż stanęła ze zdziwienia.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(od Mefistofelesa).

W A
K *du* A
A . . M
A K

Zastąpić kropki literami tak, aby utworzyły na krzyż cztery wyrazy. Znaczenie wyrazów: 1. Napój. 2. Ostry napój. 3. Pokrycie drzewa. 4. Imię męzkie.

ZAGADKA.

Jaką wodę można sitem przenieść?

ROZWIĄZANIE DO N-ru 40-go.

Zadania kenikowego:

Nie wywołuj wilka z lasu.

Szarady:

Te — ka.

Skrzynka do listów.

Stef. J. Dodatek posłano; należy nam się opłata za kwartał IV t. j. rs. 1 kop. 25. Serdecznie dziękujemy za pamięć o zdrowiu, a Gołąbka osobno dziękuje za pocałunek jej przysłany. Nie! nie straciła brata. Pan Bóg uchronił ją od nieszczęścia, co jej nie przeszkadza być szczerze wdzięczną za gotowość do współczucia jej cierpienia.

Gospośnia z nad Warty wiedziała z jakim się życzeniem do nas odezwać. Istotnie niema większego szczęścia, jak być przez „wszystkich serdecznie kochaną” i byłoby to dla nas najmiłą pracą nagrodą. Twojego serca Gosposiu, pewni jesteśmy, to też z radością powitamy korespondentkę, którąśmy już tak szczerze pokochali.

O! mojaż ty Pszeniczko niewyrośla, a już ziarnkiem pracy obdarzająca biedniejszych od siebie, jakże nam miło doliczyć cię do naszego gronka korespondentek. Rośnijże zdrowo i bujnie, a „ładne pisanie”, o które się troszczysz, samo z czasem przyjdzie. I dziś jest już czytelne i staranne.

Mos. Or. brakujące numeru posłane.

Lucio des E. trafnie odgadł zadania i szarady.

Luba Rosiczko z nad Rowu! Pewno już się w tym roku nie zobaczymy, lecz nie zapominajmy o sobie. Donieś mi, droga moja jak się mają oczęta biednej Córy Mazurów? Mateczka twoja czy już powróciła? A Binio, Zygmus i Wandeczka, co porabiają obecnie? Wy zaś: Filaretko i Fiołeczku z nad Wisły, macie takie śliczne pseudonimy, że mimowoli bierze ochota korespondować z wami, odpiszcie czy się zgadzacie, prosi o to *Poranek majowy*.

Czy nie zechcesz napisać do nas słów kilku kochana Makolągwo i donieść co porabiasz i jak się miewasz? Ja i moje siostry rozpoczęłyśmy już lekcye i jesteśmy ciągle niemi zajęte. Ściskamy was, Twoja *Różycka chińska*.

Kochana Sarneczko z nad Sanu! Znam ja ciebie i znam twego braciszka Bodiaka. Ciekawa jestem czy się domyślisz kto do ciebie pisze? Spędziliśmy lato w Tatrach Wolę tutejsze piękne widoki od widoków zamorskich, które znam równie dobrze. Ścisza cię moja ty staruszko jedna z młodszych korespondentek. *Gazella z nad Nilu*.

Kochana Różycko biała z Wołynia. Widuję cię często w miasteczku O. Donieś mi czy chcesz korespondować ze mną i czy domyślasz się kto jestem? Ścisza cię *Symfonia*.

Dziękuję ci miła Staszko z Podola za liścik, bardzo mi on pochlebił tem, że lubo starsza od Jaskółki z nad Sekwany, piszesz do mnie pierwsza, pomimo moich lat szesnastu. Zdaje mi się że pokochałabym cię bardzo, bo usposobienia mamy podobne. Donieś w jakiej mieszkasz okolicy, mnie tylko 4 mile oddziela od Warszawy. Całuję cię milion razy, *Cyganecka z na Wisły*.

Sarenee z nad Moroczku, Topolce srebrnej i Chmurce złościśtej posyłam najserdeczniejsze uściśnienia.

Droga Nieśmiała! Donoszę ci jak tego pragnęłaś, że w końcu tego miesiąca wyjeżdżam już do Wersalu. Ściskam cię serdecznie wraz z Joasią, *Szwedzka Zapalka*.

Drogi Tęsknoto i Szczeroci! Pseudonym pierwszój z was bardzo mi się podobał, proszę abyś mi doniosła co o sobie. Tobie zaś Szczeroci powiem, że nie przyjechałam do R, bo myślałyśmy obie z Niunią, że skoro uważano cię za dorosłą pannę, nie zrobią ci przyjemności nasze odwiedziny. Całuję was serdecznie. *Światelko*.

Jaskółkę z nad Sekwany i Różyckę białą z Wołynia ściskam, pytając czy chce ze mną korespondować? *Światelko*.

Kochana Kureczko z nad Ikwy! Znam cię dobrze i chciałabym korespondować z tobą. Nazywasz się Manusia, lubisz czytywać Wieczory, mieszkasz w mieście i jesteś w wieku mojej młodziej siostrzyczki. Czy zgadniesz teraz kto ja jestem? *Kwiat Paproci*.

Kochana Królowo Wrózek! Bardzo się twoim listkiem ucieszyłam. Musisz częściej odemnie widywać Marynię S. z Ussy; namów ją aby także do Wieczorów pisywała i uściskaj ją odemnie ciebie ściskam serdecznie wraz z Amalwą i Księżniczka z krainy Róż. *Makolągwa*.

Kochana Polska Lilijko! Możeś zapomniała kto jestem; byliśmy razem na Św. Krzyżu a moja siostra jest teraz w Chocimowie; może ją zobaczysz? Białą Akacyę uściskaj od nas jak ją zobaczysz i jej siostrę także. Ciebie całuję serdecznie. *Makolągwa*.

Kochana Gosposiu z nad Warty! Widać, że bardzo lubisz gospodarstwo, kiedy sobie obrałaś taki pseudonym, ja też je lubię, więc chcę z tobą korespondować. Na imię mi Gabryela, mam lat 12 i dwoje młodszego rodzeństwa. Napisz mi coś o sobie. Ściskam cię, *Stokrotka polna*.